



Agnieszka
Sudomir

Miasto Obiecane;

EFEKT POMINIĘCIA

LITERATE

Efekt pominięcia – tendencja do łagodniejszej oceny sprawcy, który wyrządził krzywdę przez zaniechanie niż sprawcy równej lub mniejszej krzywdy spowodowanej jego działaniem.

Jonathan Baron, Ilana Ritov, *Omission bias, individual differences, and normality* w: *Organizational Behavior and Human Decision Processes* tom 94, zeszyt 2, lipiec 2004, s. 74– 85.

All of this can be broken
All of this can be broken
Hold your devil by his spoke and spin him to the ground.

Laura Marling *Devil's Spoke*

Ciemno, noc. I tylko ten dźwięk. Łup, łup, łup – jakby ktoś przetrzącał węgiel. To nie węgiel. To dół. Po co go kopie? Co tam wrzuci? Jest mi zimno. Tak bardzo zimno. Nie chcę tu być. Nie chcę na to patrzeć. Tylko ja, księżyc i ten dźwięk. Łup, łup, łup. Schowam się w sobie, zniknę. Nie ma mnie. Nie ma.

I.

- Patrycja, do mnie!
- Ale panie podinspektorze... pustą bramkę mam zostawić?
- Kto tam jest pod ręką?
- Znaczy na dole?
- No przecież nie na trzecim.
- Chyba tylko komisarz. Reszta gdzieś się rozlaźła. Mazur chwycił za telefon.
- Igor! Wejdź na bramkę!
- Co?! – Blattner miał nadzieję, że się przesłyszał.
- Na bramce usiądź. Irka chora, muszę na chwilę zabrać dziewczynę.
- Odjechało ci Mazur?! Siedzę od rana nad tymi pierdolonymi papierami i końca nie widać. Teraz jeszcze za sekretarkę mam robić?
- Nie schlebiaj sobie. Nie za sekretarkę, tylko za dziewczynę z bramki. – Zarechotał szef.
- A Zośka?
- W terenie.
- W jakim znowu terenie?
- Do magazynu pojechała. Przyszły nowe drukarki.

– Kurde, Mazur, weź sobie kogoś z góry przywołaj.

– Igor, rusz dupsko i rób, co każe. Piętnaście minut cię nie zbawi. Grypa po ludziach łązi. Nie ma kim robić. Też dzisiaj kawę sam musiałem parzyć.

– No to faktycznie... katastrofa.

– Żebyś, kurna, wiedział.

Blattner zebrał papiery i niechętnie ruszył na stanowisko Patrycji. Co jeszcze dzisiaj go spotka? Od rana kręcił się niczym pies za własnym ogonem. Nic nie szło, choć w każdą czynność wkładał całą energię, jaką tego ponurego październikowego dnia potrafił z siebie wykrzesać.

Pod drodze zajął jeszcze do sekretariatu Mazura, żeby nalać sobie kolejny kubek letniej lury. Szczęście, że wcześniej nie skomentował jakości kawy. I bez tego szef był wystarczająco wkurzony. Miał powody: jedna trzecia personelu z gorączką w domu to jest pewien problem. *Ale czy to musi być mój problem?* – westchnął ciężko i postawił kubek obok papierów. Czuł, że jeśli znajdzie na służbowym mailu jeszcze jedną tabelkę do wypełnienia, rozniesie w drobny mak tę całą biurokratyczną budę razem z jej niezmiernie z siebie zadowolonymi strażnikami. Chętnie by obił urzędnikom anonimowe mordy, które chowali za ekranami, żeby co sekundę z demonicznym chichotem klikać w okienko: „Wyślij do Blattnera, niech jełop ma jeszcze więcej roboty”. Luka, cwaniak jeden, wiedział, kiedy się pochorować.

Chwycił kubek z napisem: „Gliną się jest, a nie bywa”. *Kto, do cholery, to wymyśla?* – zastanowił się, oddalając naczynie od oczu. Czas na okulistę – starość nie radość. Skończył dopiero czterdzieści siedem lat, a coraz częściej czuł się jak osiemdziesięciolatek. Przynajmniej psychicznie, bo fizycznie nie było najgorzej. Poza coraz słabszym wzrokiem właściwie nic mu nie do-

legało. W końcu już drugi miesiąc nie pił, nie palił, nie... To ostatnie mu się zdarzało – szybko, komfortowo, bez zobowiązań. Cóż, nieoceniona Rosa. Naprawdę mógłby tę dziewczynę pokochać. Gdyby tylko chciała. Ale nie chciała. *I bardzo dobrze, bardzo dobrze* – pokiwał głową, obracając przed nosem fajansowe naczynie z atencją godną porcelany z dynastii Ming.

Nagle trzasnęły drzwi, do pomieszczenia wleciał zgniły podmuch wiatru i kubek zniknął przed oczu komisarza. Przez chwilę patrzył nierozumiejącym wzrokiem na granatowe ucho w swojej dłoni. Reszta naczyń leżała w postaci skorup na biurku, a niesmaczna zawartość rozlewała się właśnie malowniczą plamą na papierach.

– Kurwa mać! – Zerwał się z krzesła, żeby uratować co się da. Wyszły tego jakieś dwie kartki.

Pięknie, akurat teraz, kiedy padła drukarka. Zanim dostanie nową, zanim ją podłączy... do rana stąd nie wyjdzie. Większość starego sprzętu już zdemontowano i zabrano do magazynu. Rozejrzał się. Na bocznym blacie stała na szczęście jakaś strupiała, ale pewnie sprawna drukarka Patrycji.

– Noż kurwa! – zaklął. – Żeby policjant na służbie musiał się zajmować takimi pierdołami!

– Co tam? – Usłyszał zaciekawiony głos szefa.

– Nic! – odburknął.

– To czego kurwami rzuca? To Wojewódzka Komenda Policji, a nie jakiś tam komisariat na Pipeczynie.

Pipeczyn był dla Mazura odpowiednikiem Pcimia Dolnego. Blattner nie miał pojęcia, skąd szef wytrzasnął to określenie, jednak akurat teraz nie zamierzał się dopytywać. Miał lepsze rzeczy do roboty. Na przykład: znaleźć jakiś papierowy ręcznik. Ponieważ mu się nie udało, wytarł biurko do sucha błękitnymi

higienicznymi chusteczkami, których pudełko leżało pod blatem. Pośpiesznie poukładał rzeczy w obawie przed gniewem Patrycji. Nie dość, że miała w oczach rentgen, co było na bramce nawet przydatne, to jeszcze słyneła z chorobliwej pedanterii i języka wcale nie mniej ciętego niż u osobistej sekretarki Mazura – czerwono włosów Irki. *Widać laski na pierwszej linii frontu już tak mają* – przemknęło mu przez głowę. Tak czy inaczej, lepiej było małej z bramki nie spadać.

Wrzucił do kosza nasączoną brunatną cieczą papierową kulę, starannie przesłonił dowody zbrodni śmieciami, po czym klapnął na krzesło, zastanawiając się, co jeszcze pójdzie nie tak. Podniósł wzrok i serce mu zamarło. Mimowolnie ruszył ręką, znów strącając na podłogę plik kartek. W ogóle nie wyczuł jego obecności. Jakby znalazł się przed nim duch. *Źle ze mną* – pomyślał, starając się wyrównać rytm serca. Ubrany w beżowy prochowiec przygarbiony facet stał ze dwa metry od niego i niepewnie się rozglądał, jedną ręką przyciskając do piersi zniszczoną, skórzaną aktówkę, drugą nerwowo miętoląc wełnianą czapkę. Z ubrania ściekały mu krople wody, tworząc wokół stóp okazałą kałużę.

– Prosz...! – huknął w kierunku pokurcza. – W czym mogę pomóc? – spytał, znikając za kontuarem w poszukiwaniu rozsypanych papierów. *A tak w ogóle, to mam na imię Partycja i jestem tu po to, żeby umilić panu pobyt w naszej pięknej komendzie* – dodał w myślach ze złością.

Kiedy wynurzył się spod blatu, koleś nadal stał w tym samym miejscu i w milczeniu lustrował korytarz.

– Halo! W czym mogę pomóc?! – powtórzył nieco głośniej, podejrzewając, że gość może mieć problemy ze słuchem.

Mężczyzna odwrócił się w kierunku Blattnera tak gwałtownie, że aż skrzypnęły podeszwy jego butów. Wyglądał jakby wła-

śnie dostrzegł komisarza, co było mało prawdopodobne, gdyż ten nie zachowywał się raczej jak mysz pod miotłą.

– Ja... ja bym chciał... – wymamrotał pod nosem. Ledwie go było słyszeć.

– Proszę usiąść.

Mimo zaproszenia facet nawet nie drgnął.

– Proszę! – powtórzył Blattner, jeszcze głośniej, ponownie wskazując krzesło.

Tego tylko mu brakowało. Nie miał czasu na użeranie się z wariatami. Na dodatek głuchymi.

– W czym mogę...

W tym samym momencie znowu trzasnęły drzwi i stanęła w nich Zośka.

– Kurde, dopiero co był początek lata, a tu już koniec. Jak żyć?! – biadoliliła, strzepując z pomarańczowych włosów resztki wody. – Co za pieprzona pogoda! W telewizji ten siwy z wąsami, wie komisarz który, ten od pogody, nawet go lubię, ale za diabła nie mogę zapamiętać jak się nazywa...

– Wiem który – przerwał jej.

– No, to on właśnie... nie dalej jak tydzień temu gadał, że będzie babie lato. I co? I dupa.

– Gdyby było chłopskie, toby było na czas, ale babie... – Już kiedy kończył dowcip, wiedział, że jest kiepski.

– Jaki z pana śmieszek, panie komisarzu. Słabe to. – Zośka potrząsnęła z dezaprobatą bujną czupryną.

Nawet się nie sprzeczał. Rzeczywiście, na żarcik roku marne szanse. Przypomniał sobie o „Duchu” z teczką. Facet jak stał, tak stał. *Nie dość, że wariat, to jeszcze zawzięty.*

– Słucham?! W czym mogę pomóc? – zapytał kolejny raz.

– Ja... chciałbym zgłosić morderstwo – wyszeptał pokurcz

w kierunku korytarza, nie spoglądając na Blattnera.

Pięknie, kurwa, pięknie! Głuchy świr zgłasza morderstwo! Co najmniej dwie godziny z bańki. Jak nie więcej. I kolejna sterta papierów do wypisania. Nie wiedział, czym podpadł, ale z pewnością ten, który sterował tym całym ziemskim bajzłem, wyraźnie za Blattnerem dzisiaj nie przepadał.

Zerknął na Lenczewską i nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w jego duszy zaświeciło słońce.

– Zojka, masz zadanie. Trzeba porozmawiać z panem... przepraszam, jak godność?

– Dmrwski... – wymamrotał facet, tym razem w kierunku zachlapanej wodą podłogi.

– Jak?! Proszę głośniej!

– Dąbrowski. Maciej.

– Pan Maciej Dąbrowski – Blattner zwrócił się znów do podwładnej – przyszedł zgłosić morderstwo. Tak? Dobrze zrozumiałem?

Duch bezszelestnie pokiwał głową.

– Ale panie komisarzu, ja miałam iść do Titi pomóc im te drukarki rozstawiać – zaprotestowała Zosia, taksując od stóp do głów obywatela z teczką.

Cwana bestia, od razu wyczuliła świra i zmarnowane godziny – uśmiechnął się do siebie. *Ma skubana oko. Niezła z niej będzie śledcza.*

– Myślę, że w obliczu morderstwa, drukarki mogą poczekać? Tak czy nie? – rzucił groźnie, wzorując się na Mazurze. – Pan przejdzie do tego pokoju i zajmie miejsce. Funkcjonariuszka Lenczewska zaraz z panem porozmawia. – Wskazał gościowi odpowiednie drzwi.

– Bo to właściwie... – zaczął Duch.

– Słucham?!

– Bo właściwie... to ja chciałem trupa zgłosić.

– Słyszałaś, pan chce zgłosić trupa. Wiesz, co robić – pogonił małą Blattner. – A pan... niech pan wejdzie i się rozgości, śmiało.

Duch niepewnie oderwał stopę od podłogi, podkurczył nogę i zamarł w pozycji bociana. Przez chwilę wyglądał jakby planował tak pozostać.

– Chyba nabrudziłem. To tylko woda... wyschnie – wybąkał.

– Nie szkodzi. Proszę się nie przejmować – uspokoił go komisarz i po raz kolejny z nietypową dla siebie anielską cierpliwością wskazał drzwi. Mniejsza, ile to potrwa; na pewno krócej niż przyjęcie zgłoszenia. Czy dureń będzie przemierzał te kilka metrów pięć czy dziesięć minut, ważne, że nie będzie już problemem Blattnera. I o to chodziło.

Kiedy odziany w prochowiec facet wreszcie zniknął w pokoju, Zośka posłała przełożonemu mściwe spojrzenie.

– Nie marudź, dziewczyno. Narzekałaś, że jesteś tylko „wynieś, przynieś, pozamiataj”. Teraz masz szansę się wykazać. To może być gruba sprawa.

– Zapewne... – Dobrze wiedziała, czemu szef zwałił na nią tę robotę; najwyraźniej postanowiła mu dobitnie pokazać, że nie jest taką idiotką, za jaką ją uważa.

Wykrzywiła usta w ironicznym grymasie, przybrała zblazowaną minę i ruszyła przyjąć zgłoszenie od Ducha. Jednak gdyby miała ogon, teraz merdałaby nim niczym szczeniakiem na widok pełnej miski. Przecież każdy wybitny śledczy od czegoś musiał zacząć. W końcu trafił na tę sprawę – pierwszą, najważniejszą, tę, która ustawiła go na wysokim miejscu w nieformalnej hierarchii twardzieli. Kto powiedział, że Zośce nie może się to zdarzyć już teraz? Czemu jej przepustką do policyjnego rajku

nie miałby zostać trup Dąbrowskiego? Cokolwiek sobie myślał ten stary wyga, Blattner, nie zamierzała przegapić takiej szansy. A jeśli coś wywęszy... nie pozwoli się odsunąć od śledztwa! Mowy nie ma! Choćby miała iść na skargę do wuja. Trup Dąbrowskiego od tej chwili był jej trupem.

L.

Po pierwszej godzinie zbierania danych była pewna, że facet nie kłamie. Podał tyle logicznie brzmiących szczegółów, że musiałby chyba to sobie układać w głowie przez lata. Maglowała go solidnie, by zyskać pewność. Nie na darmo przyglądała się w każdej wolnej chwili przesłuchaniom, które prowadzili Woźniak z Blattnerem. Koleś pamiętał wszystko – nawet jaka była pogoda, co tego dnia jadł na śniadanie i że miał na sobie granatową bluzę. Powtarzał swoją opowieść sześć razy, zaczynając raz od środka, raz od końca, raz od początku. I nigdzie się nie zaplątał. Maciej Dąbrowski, lat trzydzieści dziewięć, urodzony w Bełchatowie, zamieszkały przy ulicy Więckowskiego w Łodzi, nauczyciel matematyki, twierdził, że w podlódzkim lesie, nieopodal miejscowości Wólka Szlachecka, napotkał ludzkie szczątki.

Kiedy biegła z tym do komisarza, czuła tak silne podekscytowanie, że aż jej drżały ręce. Nie, nie może się tak pokazać szefowi, to nieprofesjonalne – podjęła nagłą decyzję i skręciła do toalety.

– Uspokój się, głupia dziewucho! – rzuciła do spoglądającej na nią z lustra piegowatej twarzy. *Jesteś policjantką, a nie jakąś żalosną niunią, którą kręci byle trup* – dodała, już w myślach.

– Co tu się, do cholery, działo?! – Usłyszała krzyk. – Gdzie

są moje chusteczki?! I czemu wszystko się klei? Jaki syf! Czy wy na tej komendzie nie umiecie nawet z biurka korzystać? To nie WC, kurwa mać, tylko czyjeś miejsce pracy. Nie jarzycie różnicy?! – wydzierała się Pati, obwiniając wszystkich i nikogo.

Choć pyskata, czuła przed Blattnerem respekt, na tyle duży, żeby jednak skrócić w stronę bezosobowych oskarżeń. Cisza w pokoju komisarza tylko potwierdzała jego winę. To akurat Zośka dobrze wiedziała. Wzięła jeszcze dwa głębokie oddechy, przemyła twarz chłodną wodą; dopiero wtedy zauważyła brak ręcznika. Rozejrzała się bezradnie, wytarła policzki rękawem swetra i ruszyła do szefa, zakomunikować mu najlepszą wiadomość, jaką mogła mieć do przekazania. Jest trup – jest sprawa. A ściślej mówiąc – jest jej, Zośki, sprawa.

Blattner z mozolem wypełnił ostatni formularz, skopiował cały folder na pendrive'a i odchylił się na krzesło tak gwałtownie, że aż mu strzeliło w kościach.

– A teraz wypierdalać, urzędnicze mordy! – Dla podkreślenia swoich słów pokazał jeszcze Bogu ducha winnemu monitorowi fucka i ponownie się przeciągnął.

Spojrzał na zegarek – nie jest źle. Dopiero dochodziła osiemnasta, a on już się uporał z tą biurowską robotą. W pokoju zrobiło się duszno, ale lało tak, że nie mógł nawet uchylić okna. Otworzył drzwi na oścież, wyjrzał na korytarz, po którym kręciło się kilku szykujących się do wyjścia chłopaków i wrócił na fotel. Zarzucił nogi na biurko. Choć też powinien iść do domu, nigdzie mu się nie śpieszyło. Teraz, kiedy rozprawił się z papierami, komenda wydała mu się miłsza od jego pustego mieszkania. Tu przynajmniej było jakieś życie. Wskutek epidemii grypy i późnej pory – niemrawe, ale jednak. Odkąd rzu-

cił alkohol i papierosy, kiepsko znosił samotne wieczory. Nadal go kusilo, żeby jak za dawnych dni posłuchać muzy przy fajce i piwku. Tego chyba mu w nowym Blattnerze brakowało najbardziej. Nie czuł się sobą. I słusznie, bo sobą nie był. Ale czy nie o to właśnie w tej całej operacji „przemiana” chodziło? Żeby stać się nowym i lepszym?

– Panie komisarzu, można? – W drzwiach ukazała się ruda czupryna.

– Włóż, Zośka, włóż, skończyłem z tym cholerstwem i jestem cały twój – z szerokim uśmiechem zachęcił dziewczynę.

– To dobrze, bo pogadałam z tym od trupa.

– Z niemową? W jego przypadku gadanie, to chyba zbyt wiele powiedziane.

– Nie. – Pokręciła energicznie głową. – Wcale nie! On jest trochę dziwny, ale jak już co do czego, to wcale nie taki miłczek, na jakiego wygląda.

– No dobra, co masz?

– Trupa! – Mimo złożonych przed lustrem obietnic nie umiała powstrzymać emocji.

– A coś więcej?

– Facet zeznał, że napotkał ludzkie zwłoki w lesie, niedaleko Bełchatowa. Płci nieznanej, znaczy te zwłoki. Bo gość widział tylko rękę wystającą spod gałęzi.

– Gdzie dokładnie ten trup?

– Wólka Szlachecka.

– Coś mi świta...

– Sprawdziłam, jest koło Bełchatowa taka miejscina.

– Docisnęłaś gościa? Bo wiesz... różni tu przychodzą.

– Jasne. Na mój nos, koleś mówi prawdę.

W progu stanął jeden z chłopaków, a potem kolejny i kolejny.

Słowo „trup” przyciągnęło ich jak magnes. Wcisnęli się do pokoju i z zaciekawieniem zerkali na Lenczewską.

– Nie pomylił się ani razu, a maglowałam go w tę i we w tę. Pytałam o wszystko, nawet o pogodę i co tego dnia jadł na śniadanie. Moim zdaniem tam faktycznie jest ten trup. To co? Jechdziemy? – Spojrzała wyczekująco na przełożonego.

– Jak myślicie? – Blattner zwrócił się do chłopaków.

– Chyba trzeba sprawdzić – odezwał się jeden z nich. Reszta pokiwała głowami.

– Dobra, to kto jedzie?

– Ja! – wykrzyknęła dziewczyna, tak bardzo się bała, że zabiorą jej tę sprawę.

– Sama nie pojedziesz – zaprotestował inny z policjantów.

– Jasne, że nie. Mogę cię zabrać, jak chcesz. – Starannie pilnowała, żeby nie wyjść z roli głównego śledczego.

– Zojka? – Komisarz zignorował ich przekomarzanie. – A kiedy on tego trupa widział?

Nagle twarz Zośki przybrała kolor jej włosów.

– Niedawno... – wydukała. Już wiedziała, że kumple z komendy nie zostawią na niej suchej nitki.

– Data, dokładana data, Zośka. – Popatrzył na nią z uwagą.

On też już wiedział. Wypytała o wszystko, tylko nie o najważniejsze. Poważny błąd, bo od tego powinna zacząć. Ale nie był na nią zły. Brak doświadczenia, emocje wzięły górę, a wtedy nie takie błędy się popełnia. *Chłopaki nie dadzą jej teraz żyć. Cóż... niech to będzie lekcja. Narwana z niej bestia, więc musi nad sobą pracować. Jak jest twarda, przetrzyma. Jak nie, niech idzie do roboty za biurko* – pomyślał i posłał jej kolejne, tym razem surowe, spojrzenie.

– Zaraz dopytam. – Odprowadzana rechem kolegów, wró-

ciła biegiem do Dąbrowskiego.

Mijały minuty, a Zośki ciągle nie było. Zaczynało im się nudzić.

– Halo! Zasnęłaś tam, czy makijaż poprawiasz?! – rzucił ktoś z ekipy w przestrzeń korytarza.

– Nie martw się, trup to trup, nawet ten sprzed stu lat! – dołożył do pieca drugi.

– Po trzydziestu latach się przedawnia. Tak tylko mówię, gdybyś znowu o czymś zapomniała – drwił trzeci.

W końcu ujrzeli w drzwiach czerwone loki dziewczyny. I jej równie czerwoną twarz. Blattner zyskał stuprocentową pewność, że nie jest dobrze. *Zadziobią ją jak nic* – westchnął. Zano-tował w pamięci, żeby jednak nieco ukrócić zabawy podwład-nych; dobrze wiedział do czego są zdolni, kiedy się rozkręcą. Radocha, radochą, ale który z nich nie ma za sobą jakiejś wtopy?

– Trzynastego marca... dwadzieścia dziewięć lat temu – wy-mamrotała pod nosem Lenczewska.

– Kiedy?! – Policjanci zgodnie ryknęli śmiechem.

– No widzisz... dobrze ci z tym przedawnieniem podpowia-dałem. – Najmłodszy z nich o mało nie popluł się z radości.

– Nie jest przedawniona.

– Co?

Zośka podniosła głowę i wypaliła z wściekłością:

– Gówno! Mówię, matole, że sprawa nie jest przedawniona. Jakbyś umiał liczyć, tobyś wiedział! Przedawni się dopiero w marcu przyszłego roku, debilu. A gdyby nawet... może są nowe okoliczności.

– O... jaka niunia wkurzona! Ależ panno Zofio! Złość pięk-ności szkodzi – nabijał się w najlepsze kolega.

– Cisza! – uspokoił towarzystwo Blattner.

Żal mu było małej, jednak sobie zasłużyła. Każdy śledczy

wie, że zaczyna się od dat. Dopiero potem: pogoda i śniadanie. Poza tym komenda to nie przedszkole. Jak coś się spieprzyło, trzeba umieć z tym żyć. Z kpinami też. Inna sprawa, że Zośka miała rację: trup Dąbrowskiego nadal był trupem, a potencjalne przestępstwo wciąż było przestępstwem. I to karalnym. Przy najmniej przez kilka najbliższych miesięcy.

– Kurde, panie komisarzu, ja czegoś tu nie rozumiem! – odezwała się Zojka nadspodziewanie hardo. – Dobra, dałam dupy koncertowo. Ale co to zmienia? Trup sprzed lat to mniej trup? Gorszy czy jak?

– E tam... – Słowa młodego funkcjonariusza aż kipiały od ironii. – Nawet lepszy, bo mniej śmierdzi! Przynajmniej się nie porzygasz jak przy Grydze. – Chłopcy znów huknęli śmiechem.

– Tylko się z tej radości nie posikajcie! Bo mamusia nie ma dziś dla was pampersów – odcięła się dziewczyna. – Panie komisarzu, ja uważam, że jak nie jest przedawnione, to jest sprawa, tak czy nie? Mogę się tym zająć – kuła żelazo, póki gorące.

Właściwie wzbudziła nawet podziw Blattnera – uparcie szukała własnej szansy, nie zważając na okoliczności. Sam nie wiedział jak na miejscu Lenczewskiej zniósłby taką kompromitację. Zaimponowała mu. *Twarda sztuka* – pomyślał i postanowił jej pomóc.

– A panowie to uważają inaczej?! – zagrzmiął w kierunku podwładnych. – Może Kodeks Karny mi tu od nowa pisać będziecie? Że jak dwadzieścia dziewięć lat minęło od zbrodni, to już prawie jak przedawnienie? Bo, o ile wiem, taki przepis nie istnieje. No to jak? Istnieje czy nie?!

Policjanci zmarkotnieli i pokręcili głowami.

– Tak też myślałem! Teraz dupy w troki i do roboty! Za mało pracy macie? A jak już skończyliście, spieprzać do chałupy coś

pożytecznego zrobić, nie się tu opierdalać.

Rozległo się powtarzane jak echo „tajes” i chłopcy wyparowali niczym kamfora.

– Zamknij drzwi, Zojka – polecił dziewczynie. – Powiem ci tak: dałaś ciała, prawda. I wyciągnij z tego wnioski.

– Ale...

– Nie ma „ale” – przerwał jej. Jeszcze tylko brakowało, żeby mu ta mała fighterka na głowę weszła. Trzeba dziewczynę trochę utemperować. – Na jutro przerabiasz od nowa procedury oraz techniki przesłuchania, rozpytania i zbierania wywiadu. Porozmawiamy sobie.

– A co z trupem? – nie dawała za wygraną.

– Pogadam z Mazurem i się zobaczy.

– Teraz?

Ma tupet, bezczelna gówniara – pokręcił głową.

– Wracaj do Dąbrowskiego i zakończ temat. Nie zapomnij faceta spisać.

– Przecież wiadomo.

– Ja już nie wiem, co ty wiesz, a czego nie – uciął ostro. – Czekaj na decyzję.

– Igor, ja tu mam roboty po cyce, połowę ludzi na zwolnieniach, a ty mi chcesz jakiegoś trupa z szafy wyciągać. Trupa tuż przed przedawnieniem?! Posrało was z tą moją Zośką czy jak?! Na koniec kolejki mi z tym! – Mazurkiewicz rzucił plik kartek na biurko.

– Ale Mazur... Zojka się tym może zająć. Jak trup się potwierdzi, to akurat sprawa w sam raz dla niej. Tak na początek. Już trochę przyschnięta. Nawet jak dziewczynie nie pójdzie, nikt nie będzie płakał. Niech się wykaże, co ci szkodzi?

– Nie ma mowy! – Mazur aż spurpurowiał na twarzy. – Nie będę tu kaprysów jakiejś lalki spełniał, choćby to krew z mojej krwi była. Mało jest roboty? A skoro się dopytujesz, to ci powiem, że masz zabawę na Polesiu. Jakiś koleś prawdopodobnie kropnął żonę. Chłopcy zabezpieczyli teren, zatrzymali podejrzanego, czekają na was. Radziejewski powiadomiony. Zbierz ludzi i jedźcie. Widzisz, brachu... już się nie nudzisz. – Podał mu świstek papieru, na którym był zapisany adres.

Blattner zerknął na kartkę. Gwiazdowa. Nie miał pojęcia, gdzie to jest. Wyciągnął smartfona.

– Niedaleko Atlas Areny, odchodzi od Wileńskiej. – Usłużnie przyszedł z pomocą Mazur.

– OK. Zajmę się tym. Ale Zośka może wziąć tego trupa sprzed lat. Nie jest mi potrzebna.

– Zośka ma wam pomóc, bo jak nie, to zaraz będzie kolejny trup. Tutaj, na komendzie, całkiem świeży. – Mazurkiewicz spojrzał na Blattnera złowrogo. – Co ty sobie myślisz, że dwie ekipy wam tu urodzę? Niby jak? Z czego? Biercie się za tego dziarskiego mężulka. Tam też będzie co robić. A jak nie, znajdę wam pierdylion innych, pilniejszych tematów niż jakiś dobrze już zjedzony przez robaki umarłak. Jasne?!

– Jasne – potwierdził Blattner. Nie był nawet zdziwiony. Właściwie mógł iść o zakład, że Mazur się nie zgodzi. Z Radziejewskim też nie miał co gadać. Kogo w tym mieście obchodził stary temat, jeśli codziennie napływały wartkim strumieniem nowe.

Cóż, Zojka będzie zawiedziona – pomyślał, wchodząc do pokoju, w którym nadal przesłuchiwała Dąbrowskiego.

– Panu już podziękujemy – zwrócił się do faceta.

Kątem oka wychwycił wściekle spojrzenie Lenczewskiej.

– Pojedziecie tam? – spytał Dąbrowski.

– Dziękujemy, zgłoszenie przyjęte.

– Bo... – Chciał coś jeszcze dodać, ale zamilkł, przyciskając do piersi zniszczoną teczkę niczym drogocenny skarb.

– Skontaktujemy się w razie potrzeby. – Blattner chwycił mężczyznę pod łokieć, delikatnie, acz stanowczo podniósł z krzesła, po czym skierował do wyjścia.

Kiedy Duch zniknął z budynku komendy, Zośka posłała kolejne mściwe spojrzenie komisarzowi i ciężko opadła na krzesło.

– Nie idziesz do domu?

– Nie – odburknęła.

– Skoro ci się nie śpieszy, zrób, co miałas zrobić. – Nie widział potrzeby, żeby ciągnąć ją ze sobą na Gwiazdową.

– To znaczy?

– Idź do Titi. Olek ci powie, do kogo masz się zgłosić. Na pewno chłopakom przyda się pomoc w rozstawianiu drukarek, bo jest tego od zarabiania.

Dziewczyna podniosła się bez słowa i ruszyła do drzwi. Gdyby znaczące milczenie mogło zabijać, Blattner byłby już martwy – nie mniej niż trup Dąbrowskiego.

3.

Otrzeptał wełnianą czapkę z wody, to samo zrobił z prochowcem, a następnie równo ustawił buty na przeznaczony do tego szmacie. Kiedy obeschną, trzeba będzie je wypastować. Właściwie pielęgnowane wytrzymają długi czas. Nie lubił nowych ubrań. Nie czuł potrzeby ich kupowania. Nauczył się dbać o rzeczy lepiej niż o siebie samego. No i wołał też nie wydawać pieniędzy. Nigdy im się nie przelewało. Przynajmniej od czasu, kiedy wyjechali do miasta. Z wcześniejszego życia niewiele pamiętał. Może tylko tyle, że ojciec się uśmiechał. Matka zresztą też. Potem nikomu już nie było do śmiechu. A kiedy dwanaście lat temu mama zmarła, w ogóle rzadko widywał ojca. W każdym razie, dopóki ten pracował.

Obszedł całe, trzypokojowe mieszkanie, jak to robił zawsze po powrocie do domu. A także rano, przed wyjściem. Pozapalał światła – ciemność go niepokoiła. Sprawdzał każdy kąt, wypakował zawartość teczek na biurko, które pamiętało jeszcze jego szkolne czasy; długopisy i ołówki ułożył od najmniejszego do największego, a książki w równy stosik. Bawełnianą chusteczką przetarł zawilgotniałą skórę podniszczonej aktówki, wypchał torbę gazetami i ostrożnie ustawił z dala od kalory-

fera. Skóry nie wolno suszyć gwałtownie, bo mogłaby się zniszczyć. Dopiero teraz przyszedł czas na relaks. Maciej Dąbrowski rozpoczął wieczór.

Zanim usiadł do kolacji, wziął prysznic, przebrał się w piżamę i narzucił granatowy, frotowy szlafrok. Kąpał się dwa razy dziennie: wieczorem – długo, starannie w bardzo ciepłej wodzie; rano – spłukiwał sen i pot z nocy pod zimnym strumieniem. Dzięki temu prawie nie chorował. A także dzięki codziennej gimnastyce oraz zdrowej diecie. Nigdy nie jadał w fast foodach, w ogóle nie lubił jadać poza domem. Nie był pewny, czy kucharz w restauracji dokładnie umył ręce ani co naprawdę podano na stół. Czuł obrzydzenie do tych wszystkich łyżek, które wcześniej znalazły się w setkach obcych ust, do wylizanych obcymi językami widelców i dotykanych obcymi palcami noży. Niepokoiły go też przyprawy. Z tego, co wiedział, w knajpach chętnie stosowano glutaminian sodu. Zawroty głowy, palpacje serca, uczucie niepokoju miewał i bez niego. Na męczącą go nadmierną potliwość chemia spożywcza też nie pomagała. No i uczulenia... od wiosny do jesieni. Nikt nie umiał mu pomóc. W końcu sam się zdiagnozował. Padł ofiarą alergii krzyżowych. W okresie nasilonego pylenia roślin musiał szczególnie uważać na dietę. Żadnych cytrusów, żadnej czekolady, również orzechy szły w odstawkę. A także cała spożywcza tablica Mendelejewa. Oczywiście, nie był w stanie zupełnie wyeliminować niezdrowych rzeczy, jednak robił, co mógł. I przynosiło to pewne efekty. Dawno już nie miał ataku pokrzywki, która nękała go od wczesnej młodości.

Pod drodze do kuchni rzucił okiem w głąb mijanego pomieszczenia. Łóżko przeciwodleżynowe, stojak do kroplówki, na szafce buteleczki, słoiczki, pudełeczka. Wszechobecny za-

pach środków medycznych. Wszystko tam nadal stało. Sam nie wiedział dlaczego. Po prostu źle znosił zmiany. Kiedy do czegoś się przyzwyczaił, wołał tego nie ruszać. Jak co wieczór od pięciu lat, podszedł cicho do nocnego stolika i zgasił stojącą na nim lampkę, a następnie ostrożnie zamknął drzwi od pokoju. Zupełnie jakby spało w nim wyjątkowo wyczulone na hałas niemowlę.

Nie miał dzieci. Nigdy nie chciał ich mieć. Ani żony. Rodzina kojarzyła mu się z zamieszaniem i komplikacjami. Choć pewnie nie w takim sensie jak reszcie ludzi. Nie bał się kompromisów, był w nich dobry. Z wyjątkiem jednego. Dzieci robiły straszny bałagan, zbyt dużo i zbyt głośno mówiły, ciągle biegały. Jakoś znosił ten chaos w pracy, ale nie byłby w stanie dzielić z nimi przestrzeni w domu. Tu przywykł do ciszy. Nawet za czasów, kiedy mieszkali we trójkę, nikt z nich nie gadał bez potrzeby. Nie pamiętał też, żeby ktokolwiek rozrzucił rzeczy albo zbyt gwałtownie się poruszał. Prawdę mówiąc, zawsze było tu spokojnie oraz schludnie... jak w domu pogrzebowym. I to właśnie mu odpowiadało. Ale nie mógł przecież liczyć, że znajdzie drugą tak wyjątkową kobietę jak jego matka. Nie był głupi, wiedział, że małżeństwo zazwyczaj rujnuje święty spokój. Wołał nie ryzykować.

Wyciągnął z lodówki pudełko oznaczone cyfrą trzy – warzywa z ryżem i gotowanym kurczakiem, jak w każdą środę. Bez soli – bo ta była jeszcze gorsza od glutaminianu. W weekend szykował sobie kolacje na cały tydzień. Pakował potrawy w praktyczne pojemniki, a potem opisywał. Zawsze się dziwił, kiedy koleżanki z pracy narzekały, że brak im pomysłu na obiad albo że nie mają czasu go ugotować. Nie rozumiał, czemu nie potrafią zaplanować sobie życia. Przynajmniej tam, gdzie się da. Jego zdaniem to wcale nie było takie trudne, natomiast wiele

ułatwiało. Już dawno zauważył, że ludzie, nawet ci najrozsądniejsi, potrafią wszystko koszmarnie komplikować. Między innymi dlatego, poza pracą, starannie ich unikał.

Wstawił pudełko do mikrofalówki. Choć żył zdrowo, nie ulegał łatwo histerii. Żeby coś wykluczyć ze swojego otoczenia, musiał mieć twarde dowody. Po przeczytaniu szeregu mniej oraz bardziej fachowych artykułów był zdania, że pogłoski o szkodliwości mikrofal nie zostały poparte żadnymi sensownymi badaniami i są mocno przesadzone. Czekaając aż urządzenie odpowiednim sygnałem oznajmi koniec pracy, podszedł do monitora, ruchem myszki wyłączył wygaszacz i raz jeszcze odczytał ostatni akapit otwartego na ekranie maila.

I bardzo dziękujemy za wsparcie. Przez minione miesiące przeżyliśmy horror. Nadal go przeżywamy. Tylko dzięki takim dobrym ludziom jak Pan, wciąż jesteśmy na tym świecie. Codziennie budzimy się z pytaniami... Gdzie jest nasze dziecko? Czy cierpi? Czy w ogóle żyje? Bo najgorsze, to nie wiedzieć. Pana rada, żeby porządkować świat małymi krokami, zaczynając od drobiazgów, powoduje, że jeszcze nie oszaleliśmy, że wciąż żyjemy. Żaden psycholog nie zrobił dla nas tyle, co Pan – ukochany wychowawca naszej Córeczki.

Mikrofalówka zapikalała trzykrotnie. Chwycił pilota, przerzucił kanał z Discovery, które zawsze oglądał do śniadania, na *Wiadomości*. Przyniósł z kuchni kolację i postawił ją na małym stoliku przed fotelem. Nareszcie... Nie lubił dni, które wytręcały go z rutyny. A ostatnie do takich właśnie należały. Niedobre dni. Niedobre, ale i dobre. W pewnym sensie. To było jak cierń, jak zadra za paznokciem. Jak wirus, którego był nosicielem. Przekazał go dalej. Zrzucił z siebie ciężar. Już nie będzie musiał o tym

myśleć. Usiadł w fotelu, odchylił głowę, przymknął powieki. Był potwornie zmęczony. Jak jeszcze nigdy dotąd. Ale wreszcie czuł, że oddycha. Dziś ostatni raz obudził się z tym okropnym uciskiem w skroniach – tego był pewny. Kolejne poranki będą zupełnie inne: bez długiego, ponurego patrzenia w lustro, bez pytań, bez wątpliwości. Choć jutro wstanie jako nowy człowiek, choć wiele się zmieni – nie odczuwał lęku. Miał wrażenie, że do tego akurat szybko przywyknie.

Właśnie zamierzał wziąć się za jedzenie, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Dzwonek wyłączył dawno temu – żeby go nie straszyl i nikogo nie budził. Pukanie było znacznie łatwiejsze do zniesienia. Zresztą, i tak rzadko kto go odwiedzał. A od czasu, kiedy mieszkał sam – prawie nikt. Westchnął zniecierpliwiony, po czym odsunął stolik. Komu przyszło do głowy składać wizyty o takiej porze? Komu w ogóle przyszło do głowy go niepokoić? Teraz znów wszystko będzie musiał zaczynać od początku, powtórzyć cały rytuał, zanim zasiądzie do kolacji.

– Kto tam?! – krzyknął przez drzwi. Starał się nie używać wizera. Zniekształcony przez judasza obraz wytręcał go z równowagi.

– Zielińska z parteru! – Usłyszał skrzekliwy głos sąsiadki.

Ponownie westchnął i zaczął otwierać zamki: wszystkie pięć, jeden po drugim, od góry do dołu. Łańcuch zostawił. Wyjrzał przez szparę. Sąsiadka stała z jakimś pakunkiem w dłoniach.

– Kurier pana nie zastał, to u mnie paczkę zostawił – wyskrzypiała starucha.

Nie cierpiał jej, tak jak innych sąsiadów. Ale był zbyt grzeczny, żeby dać po sobie poznać. Zamknął drzwi, zdjął łańcuch.

– Dziękuję. – Odebrał przesyłkę; prawie ją upuścił, taki był zdenerwowany.

– Ostrożnie, coś się może potłuc – pouczyła go Zielińska. – A w ogóle to bardzo nam tu wszystkim przykro...

– Tak, tak... dziękuję. – Zatrzasnął drzwi, zanim zdołała zajrzeć do środka.

Wscibska jędza – pomyślał i w panice obejrzał paczkę. Na szczęście była nienaruszona. Adres nadawcy też nikomu nic nie powie: PHU Anna. Ruszył do kuchni i położył pakunek na blacie. Jeszcze raz go obejrzał – tym razem dokładniej. Wziął do ręki nóż. Chwilę się wahał. W końcu przeciął taśmę. Raz, dwa, trzy, cztery. Równe, precyzyjne cięcia – nie znosił bałaganu. Gdyby Bóg istniał i chciał spełnić jego jedno życzenie, poprosiłby Najwyższego o symetrię. Jak najwięcej precyzji oraz symetrii. Spośród pociętego styropianu wygrzebał nieduży, owinięty folią bąbelkową przedmiot. Delikatnie rozpakował i postawił figurkę na stole. Kryształowy aniołek w świetle lampy lśnił jakby był zrobiony z lodu. Jak bardzo wrażliwa jest osoba, która potrafi własnymi rękami wykonać tak kruchą, tak wyjątkową rzecz? Jak bardzo musi być cicha, jak inna od pozostałych kobiet? Nie do wiary... Chwycił ostrożnie aniołka w dwa palce i podniósł do oczu. Zmarszczył czoło, zmrużył powieki. Zobaczył drobną blondynkę o oczach błękitnych niczym letnie niebo nad lasem. Ich lasem. Ostatni raz, kiedy ją widział, niebieskie oczy były zasnutę mgłą smutku. Zrozumiał, że tego spojrzenia nie zdoła zapomnieć. Choćby nie wiem ile razy wyjmował cierni, usuwał drzazgę. Uważnie odstawił figurkę na stół i wrócił do pudełka. Wólka Szlachecka – odczytał adres nadawcy. Tam się zaczęło, tam się skończy.

Nie podjął jeszcze decyzji, co dalej. Tyle się ostatnio wydarzyło, że nie zdążył dobrze się zastanowić. Nie był przekonany, czy powinien sięgać aż tak głęboko pod powierzchnię bagna,

które od lat zalewało mu usta. Może źle myśli? Zbyt schematycznie? Może to nie w głębinach będzie szukał, ale właśnie na powierzchni? Po raz pierwszy od lat swobodnie oddychając? Może bagno zniknęło? Może sam je osuszył dzisiejszą rozmową z tą miłą policjantką. A jeśli ona mu nie pomoże? Jeśli nic z tym nie zrobią? Nieogolony facet w poplamionym polarze, kumpel policjantki, od początku chciał go splawić. Wziął go za głupka. A on przecież głupi nie był. Wiedział, że tak stary trup być może nikogo nie zainteresuje, ale nie miał lepszego pomysłu. Nasycić wilka i ocalić owcę – to wcale nie było proste. Jedyna nadzieja w rudej. Od razu dostrzegł w niej ambicję, tak jak błyskawicznie wychwytywał to u swoich uczniów. Nigdy się nie mylił w tej sprawie, zupełnie jakby miał wbudowany radar. Szósty zmysł bezbłędnie mu podpowiadał, w kogo warto inwestować czas i wysiłek. Tym razem wskazał młodą policjantkę. Zofia. Sophia. Mądrość. To coś musi znaczyć. Gdyby wszystko było tak proste jak matematyczne zadanie, nie potrzebowałby intuicji. Ale nie jest. I nigdy nie będzie. Nie mógł się po ludziach spodziewać logicznych rozwiązań. Jego ścisły umysł czasem korzystał więc z innych, mniej ścisłych obszarów. I robił to znakomicie.

A jeśli policja zignoruje zgłoszenie? Co wtedy? – zastanowił się. Cóż... weźmie sprawy w swoje ręce. Choć to nie przyniesie najlepszego efektu, choć będzie musiał zrezygnować z pewnych życiowych planów, wszystko jest lepsze od tego, w czym tkwił przez ostatnie trzy dekady.

Schował kryształowego aniołka do szafki. Nie chciał, żeby ktoś go zobaczył, nawet przypadkiem. To by stanowiło coś w rodzaju świętokradztwa. Zdawał sobie sprawę jak bardzo nieracjonalne są jego myśli, ale miał ochotę całkowicie poddać się emocjom, pierwszy raz w życiu i być może – ostatni. A te pod-

powiadały, że aniołek jest symbolem, jest relikwią, talizmanem. Straci swoją moc, jeśli zostanie wystawiony na żer ciekawskich, brudnych spojrzeń. Kosztował tylko pięćdziesiąt złotych, lecz dla niego był bezcenny, bo dotykały go nieskalane palce cichej kobiety, tej samej, która tak mężnie w milczeniu znosiła swój los. Gdyby nie te oczy, gdyby nie przyglądał się im wtedy uważnie, nie wiedziałby o cierpieniu. Aniołek... uświęcony jej dotykiem, zrobiony z wylanych tamtej wiosny łez. Oraz z tych niewylanych. Z takim amuletem na pewno wszystko się uda. Będzie jak zaplanował. Kryształowa figurka prostą drogą doprowadzi go do rozwiązania. Jak w matematycznym zadaniu. Aniołek stanowi jedną z kluczowych danych. Choć rozum twierdził, że to magiczne bzdury, serce mówiło inaczej. Dziś rano posłuchał serca. I zamierzał nadal to robić.

Ponownie obszedł całe mieszkanie. Przetastawił buty na suchą część szmaty, po czym sprawdził wszystkie zamki. Zajrzał do łazienki. Przesunął o kilka milimetrów pojemnik z pianką do golenia. Poprawił ręcznik, który nie wisiał wystarczająco równo. W pokoju z kroplówką i szpitalnym łóżkiem zapalił lampkę, by zaraz potem ją zgasić. Skontrolował okno w sypialni – całą noc miało padać, gdyby zostawił je niedomknięte, woda zalałaby drewniany parapet. A potem już tylko krok do odkształcenia deski. Musiałby ją wymienić; nie zniósłby krzywego parapetu. Wrócił do salonu, zabrał pojemnik z ryżem. W kuchni znów wstawił go do mikrofalówki. Jak zwykle w tym momencie przemknęło mu przez głowę, że ten, kto wymyślił pudełka na jedzenie, powinien zostać nagrodzony Noblem. Wzbudził ekran komputera. Przeczytał końcówkę maila od zrozpaczonych rodziców i usłyszał trzykrotne piknięcie. Był gotowy do kolacji. Tylko zamiast *Wiadomości*, dziś będzie musiał obejrzeć

co innego. Poszukał jakiegoś starego filmu. Te nowe go nudziły. Brakowało im finezji i mądrości dawnego kina. Szczęśliwie na którymś z kanałów leciał *Pat Garrett & Billy the Kid*.

– Czasy się zmieniły – powiedział Pat.

– Czasy tak. Ale nie ja – odparł Kid.

Znakomity dialog – pochwalił w myślach scenarzystę. Cóż... czasem życie tak się układa, że przyjaciele, chcąc nie chcąc, stają po przeciwnych stronach. Ale przecież to nie musi się zawsze źle kończyć.

Zrobił głośniej, wsunął widelec do ust; wolno przeżuując pozbawiony smaku ryż, zapatrzył się w ekran.

4.

Na wersalce siedział wysoki, szczupły mężczyzna. Chłopak właściwie. Ile mógł mieć lat? Blattner obstawiał, że najwyżej jakieś dwadzieścia. Spojrzał w papiery przygotowane przez policjantów, którzy pierwsi dotarli na miejsce. Dwadzieścia dwa – niewiele się pomylił. Ubranie dzieciaka wyglądało jakby ostatnie godziny spędził w rzeźni przy uboju. Zakrwawione pięści przyciskał mocno do skroni i kołysząc się w przód oraz w tył, mamrotał coś pod nosem.

– Co ja zrobiłem... Jezu przenajświętszy, co ja zrobiłem... – Wychwycił komisarz z bełkotu. Facet był nawalony, ale widać nie na tyle, żeby nie zadźgać swojej ślubnej. Siedemnaście ran kłutych – tyle na razie naliczyli.

– Dobra, na dołek z nim – zdecydował, widząc, że niczego w tej chwili z chłopaka nie wyciągnie. – Ściągnijcie jakiegos lekarza. Niech go postawi na nogi. A wy do roboty. – Wskazał drzwi drugiego pokoju, teraz lekko przymknięte. Zza żółtej szyby widać było tylko strzelający raz po raz błysk flesza.

Jednorazowy kombinezon krępował ruchy, ale przynajmniej nie było już tak gorąco jak jeszcze kilka tygodni temu. Naciągnął nową parę nitrylowych rękawiczek i ostrożnie uchylił prze-

szkłone drzwi. W powietrzu unosił się słodkawo – mdlący zapach. Blattner wiedział, co tam zastanie, mimo to poczuł jak zawartość żołądka podchodzi mu do gardła. Niepotrzebnie zjadł przed wyjściem pączka, którym poczęstowała go Dorota. Teraz, kiedy zamknął terapię, o wiele chętniej wpadał do Zatorskiej na pogaduchy. A ta, jak widać, skończyła chyba z odchudzaniem.

Zdusił mdłości i przekroczył próg. Pokój był urządony dość skromnie, ale schludnie. Ktoś – chłopak w zakrwawionej koszuli? – włożył sporo pracy, żeby niewielkim kosztem uzyskać całkiem przyjemne wnętrze. Nie pierwszej nowości szafa była odświeżona i starannie pomalowana na biało, podobnie jak rama łóżka, co było widać przynajmniej w tych miejscach, w których farby nie zasłoniły krwawe rozbryzgi. Dekoracje natomiast wskazywały na kobiecą rękę. Koronkowe firanki, kwieciste zasłonki i taka sama kapa, która wyglądała komisarzowi na *hand made*, również nosiły ślady dzisiejszych wydarzeń. Obok łóżka, na beżowej wykładzinie pośrodku ciemnej plamy spoczywało ciało młodej kobiety. Choć, gdyby nie wiedział, że to Oliwia Robiech, z domu Karczewska, dwudziestoletnia absolwentka łódzkiej odzieżówki, obecnie bezrobotna, mężatka, bezdzietna – mógłby się pći ofiary na pierwszy rzut oka nie domyślić. Pocięta, najprawdopodobniej leżącym nieopodal nożem, twarz była kompletnie zmasakrowana. Reszta zwłok nie wyglądała lepiej. Mąż, Fabian Robiech, dwudziestodwuletni mechanik samochodowy, bez wątpienia autor tej jatki, obciął też swojej ofercie włosy, wyrzynając niewielki fragment skóry, na samym czubku głowy. Blattner sądził, że skalp był raczej przypadkowy. Kobiety nie torturowano, tylko wielokrotnie dźgnięto nożem. Wszystko wyglądało na typową zbrodnię w afekcie.

Raz jeszcze ogarnął wzrokiem otoczenie. Na stoliku obok

kilku, teraz zgaszonych ozdobnych świec stała butelka po tanim winie. Wszędzie wałały się jakieś skorupy. Schylił się i dokładniej im przyjrzał. Wazon albo coś w tym rodzaju. Obok leżały czerwone róże – część z nich z oderwanymi główkami. I szklanka – na jasnej tapecie widać było wyraźny ślad, gdzie wylądowała, zanim odłamki posypały się na podłogę. Nieopodal bordowej plamy po winie widniały trzy ślubne fotografie. Spoglądała z nich przepęlniona szczęściem, roześmiana para. Dwoje młodych ludzi, prawie dzieci... Co tu się wydarzyło, że nagle świeżo upieczony mąż przekształcił się w bestię? Czemu zakonchana w nim żona musiała zakończyć krótkie życie w tak kosztowny sposób? Komisarz stawiał na jakieś dość banalne rozwiązanie. Zazdrość? Pieniądze? I zbyt dużo alkoholu... to akurat pewne. Większość prowadzonych przez niego śledztw miało podobny finał. Rzadko wśród zabójców trafiali się tacy, którzy do końca stanowili zagadkę. I bardzo dobrze. Bo po ostatnich miesiącach miał serdecznie dość zagmatwanych spraw oraz wyrafinowanych morderców. Najwyższy czas na powrót do rutyny.

– To chyba mamy komplet. – Radziejewski lekko rozpiął suwak kombinezonu. – Nic tu po nas.

– Zobaczymy, co będzie, kiedy facet wytrzeźwieje. Jeśli podtrzyma zeznania, kończymy.

– Gorzej, jeśli coś zacznie kombinować – westchnął prokurator.

– Weź, Wiktor wypluj te słowa. Niech chociaż jedna sprawa w tym mieście pójdzie do przodu bez komplikacji. Jak tak na to wszystko patrzę – jeszcze raz ogarnął wzrokiem miejsce zbrodni – jego zeznania to czysta formalność.

– Niby tak... – Skrzywił się Radziejewski. – Ale po ostatnich jazdach byłbym ostrożny z otwieraniem szampana.

– Dobra... – Blattner odwrócił się do pracującej w skupie-

niu ekipy. – Marek! – przywołał krępego, starszego policjanta. – Jesteś teraz szefem. Procedura jak zwykle. Woźniak jutro już powinien być w robocie, raportujcie do niego. A gdyby jego nie było, to bezpośrednio do mnie. Z koleśm, jak mówiłem, na dołek i postawić na nogi. Sam go jutro wezmę w obroty. O ile będzie w stanie gadać...

– Jasne – potwierdził funkcjonariusz. – Nie powinno być problemów. Śladów mamy od zarąbania.

– No i dobrze. Ale Marek, proszę cię, bądźcie uważni. Zawsze nam może jeszcze jakiś trup z szafy wyskoczyć.

– Taaa... po Aptekarzu i tych lekarzach to ja też wolę dmuchać na zimne.

– I tak trzymać. Do jutra.

– Narka – rzucił policjant i zaczął wydawać dyspozycje technikom.

Do domu Blattner dotarł dobrze po północy. Był wykończony. Nie tyle wieczorną akcją, co cholernymi papierami. Jakkolwiek dziwnie to nie brzmiało, wołał już widok trupów niż tabletek do wypełniania. Te ostatnie naprawdę go przerażały.

Zmył z siebie obrzydliwy zapach świeżej krwi i od razu poczuł się lepiej. Przejrzał zawartość lodówki. Choć dziś była całkiem dobrze zaopatrzona, nie miał ochoty na kolację. Nalał sobie do szklanki odrobinę whisky – tyle, żeby zakryła dno, resztę odstawiając na najwyższą półkę w najdalszej szafce. Nie pilnował się tak mocno jak jeszcze dwa tygodnie temu, jednak jeśli pozwalał sobie na alkohol, to w minimalnych ilościach. Choć jego demony przysnęły, nadal gdzieś tam były i tylko czekały, żeby się obudzić. Wołał nie otwierać im klatki. Biegał, ćwiczył, nie palił, starał się wysypiać – od dobrego miesiąca konsekwentnie

trzymał bestie krótko za pysk, na uwięzi. Miał świadomość, że jeden drink za dużo i może się to paskudnie skończyć. Nie widział Ady od tamtego dnia, kiedy szła z Tupałą. Wstrząsnął się na myśl o tym oślizgłym padalcu i natychmiast usłyszał jak coś szepcze mu do ucha: sięgnij do szafki po dolewkę, w końcu jeszcze łyczek nikomu nie zaszkodził. *Taaa... znam takiego, któremu zaszkodził, i to bardzo* – pomyślał zjadliwie, po czym ze złością wstawił pustą szklanekę do zmywarki. Zgasił światło, podszedł do okna, podciągnął rolety i popatrzył na spowitą mrokiem, mokrą ulicę. Rozmyty deszczem krajobraz był wyjątkowo ponury. Jak kurort po sezonie. Jak sala po balu. Zniknęły ogródki, a wraz z nimi rozchichotane kolorowe motyle. Miasto szykowało się do zimowego snu. *Znów pic i miesiące szarówy. Ktoś, kto tym światem zarządza, parę spraw ewidentnie spierdolił. Jedną na pewno jest jesień, a drugą starość* – dopadła go typowa o tej porze roku refleksja. Zaciągnął rolety i rzucił się na kanapę. Głęboko odetchnął. Zwykle już od późnego lata odczuwał smutek na myśl o tym, co nadchodzi. A w tym roku będzie musiał przeżyć coś jeszcze. Pieprzone Boże Narodzenie – bez czerwonego wina, piosenek Sinatry... bez Ady. Ech, tam! Puścił sobie *Fairytales on New York* The Pogues i jakoś ten kiczowaty *shit* przetrwa. W końcu w antyświętecznych playlistach miał daleko większe doświadczenie niż w słodkich do wyrzgu bożonarodzeniowych przebojach. Sam nie wiedział, jak do tego doszło, że niespełna rok temu, przez kilka tygodni, zaśluchiwał się tym całym gwiazdkowym gównem. I nawet zasrane Mikołaje, razem ze swoimi choinkowymi światełkami, wydały mu się niezwykle urocze. Magiczne. Jezu... naprawdę myślał, że jest w jakiejś pierdolonej bajce. W głowie niebezpiecznie zagrał mu Sinatra, a serce ścisnęło się boleśnie na samo wspo-

mnienie tamtych dni. *Stary, a głupi!* – dołożył sobie i włączył radio, żeby zagłuszyć myśli.

Rozległy się pierwsze takty *Take this Waltz*. Nie wiedzieć czemu, nie uciszył Cohena. To był błąd. Zobaczył tonące w półmroku mieszkanie, poczuł aromat cynamonu i pomarańczy. A zaraz potem słodki zapach jej skóry. Mógłby przysiąc, że pod palcami czuje tykanie pulsu na delikatnej, wyprężonej w ekstazie szyi. Jak kiedyś, utonął w jej oczach, tamtej nocy ciemnoszmaragdowych niczym grudniowy ocean. Ponownie zabołało. Najpierw słabo i niewyraźnie. A potem ktoś poruszył ostrzem w świeżej ranie – tak mocno, aż zabrakło mu tchu. Znow coś szepnęło mu do ucha, że przestanie boleć, kiedy podejdziesz do szafki, tej najdalszej, i sięgnie na najwyższą półkę. Przestałoby. Na chwilę. A co dalej? Chwycił pilota i przełączył na inną stację. W mrok popłynął głos prezentera. Odetchnął. Kolejny raz uratował skórę, choć było blisko. Kilka dźwięków, kilka wspomnień, jakieś zapachy ukryte w pamięci pomiędzy szeptami i już? Znowu? Był sobą przerażony. Nie ma mowy! Wstał z kanapy, włączył światło, nastawił ekspres. Nikt rozsądny nie pił kawy o tej porze, jednak zaprawiony w bojach organizm Blattnera od dawna nie reagował na kofeinę tak, jak powinien. Zresztą, żeby to był jedyny błąd, który w życiu popełniał! Tylko kawa mogła bezpiecznie uciszyć cholernego Sinatrę w jego głowie. Ona i Hubert „Flow” Zalewski. Ulubiony prezenter komisarza szczęśliwie gadał jak najęty:

*I tak to właśnie, moi kochani, już u nas jest. Że po lecie przychodzi jesień. A potem będzie tylko gorzej. Ale nie poddajemy się, prawda? Pamiętacie, oczywiście, o naszych braciach mniejszych? Wy przezi-
mujecie w swoich przytulnych mieszkankach, jednak nie wszystkie*

stworzenia mają taki fart. Nie zapominajcie o nich. Stowarzyszenie „Łapa” wszystkim się zajmie, wy tylko wciągnijcie portfele i sypnijcie hajsem. Zróbcie co należy – mówię wam to ja, wasz ulubiony Hubert „Flow” Zalewski. Co by tu jeszcze? W sumie niewiele. Jesteśmy po Festiwalu Światła i jak by to powiedzieć... światła zgasły, idziemy spać. Tak już jest, że w październiku musicie się trochę sami sobą zająć, bo wokół raczej nudnaśwo. Ale nie narzekajcie, miejskie szczury – kozackie puby na was czekają. Zawsze, nawet w najgorszą pogodę, będzie gdzie wypić szklaneczkę, może dwie... gorącej herbatki z cytryną. Generalnie nie hejtujcie jesieni, tylko zakładajcie walonki i w miasto! Gdybyście nie wiedzieli, co sobie podczas wędrówki po pubach podśpiewywać, zaraz wam podrzucę fajny kawałek. Idealny na epickie włóczęgi. Nawet te jesienne. Skautowskie zawołanie na dziś: w Łódź idziemy – chandrze się nie dajemy!

Z głośnika popłynął genialny głos Wiesia Gołasa. *W Polskę idziemy* jak zawsze wywołało szeroki uśmiech na twarzy komisarza. Ile to razy, wracając z pijackich studenckich eskapad, śpiewali ten kawałek z Krzysztofem! *Piękne czasy...* – westchnął i znów zmarkotniał. Co za cholera z tymi wspomnieniami! Jak nie z jednej dziury wyłażą, to z drugiej. Zobaczył przed oczami zakrwawione włóki młodej mężatki i zrobiło mu się głupio. Coraz lepiej mu szło. Coraz łatwiej wyrzucał to z głowy. Coraz szybciej zapominał szklane spojrzenia, zmasakrowane twarze, zapach trupa i świeżej krwi. Nawet nie chciał się zastanawiać, o czym to mogło świadczyć.

Efekt pominięcia
Copyright © Agnieszka Sudomir
Copyright © Wydawnictwo Literate
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover photo by ikostudio/Adobe Stock & Sergiu B. –
RAW Gaea/Adobe Stock & dmitrimaruta/Adobe Stock
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz, 2020

książka ISBN 978– 83– 7995– 402– 5

ebook ISBN 978– 83– 7995– 403– 2

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Bożena Kurzydłowska
Korekta: Barbara Mikulska
Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Projekt okładki: Aleksandra Bartczak
Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85– 453 Bydgoszcz
sekretariat@literate.pl
www.literate.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl